

**W**ielka to dla widza przyjemność, jeśli wychodzi z teatru zachwycony przedstawieniem bez żadnych „ale”. Jeśli satysfakcjonuje go i sama sztuka, i jej przekład, i inscenizacja, i aktorzy, krótko mówiąc – jeśli nie ma się do czego przycześć, choćby nawet chciał. Takie szczęśliwe sytuacje zdarzają się, niestety, bardzo rzadko, należy je zatem z należnym szacunkiem odnotowywać, co też niniejszym czynię, odnotowując „Kalekę z Inishmaan” Martina McDonagha, w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Zdaję sobie sprawę, że tytuł nie jest zachęcający, a i autor, niespełna trzydziestoletni londyńczyk pochodzenia irlandzkiego, zupełnie u nas nieznan, może nie wzbudzać zaufania. Dodam więcej: akcja sztuki rozkręca się powoli, jak na dzisiejsze tempo, zresztą akcja w ogóle nie jest tak bardzo istotna. Ot, na jednej z irlandzkich wysep kręci film ekipa z Hollywood, więc z okolicznych wiossek zjeżdżają się chłopcy i dziewczęta w nadziei, że dostaną w tym filmie jakąś rolę. I rzeczywistość: Amerykanie zabierają do Hollywood na próbne zdjęcia jednego z chłopaków, obśmiewanego przez wszystkich kalekę, itd., itd.

Otóż od lat nie widziałem sztuki z tak wspaniale napisanymi rolami, z bohaterami tragicznymi i zabawnymi zarazem, sztuki o tak znakomitym klimacie, pełnej prawdy o życiu – nie tylko na tej irlandzkiej wysepce, napisanej z takim ciepłem, z takim zrozumieniem ludzkich marzeń, tęsknot, kompleksów, dramatów. Sztuka nie jest najkrótsza, a przecież gdy się kończy, trudno się nam z nią rozstać, chciałoby się nadal uczestniczyć w życiu mieszkańców wioski, nadal śledzić ich losy, dowiedzieć się, jak zakończy się to, co w finale właśnie się zaczyna... To zresztą zasługa nie tylko samej sztuki, lecz i doskonałego przekładu Małgorzaty Semil i znakomitej reżyserii Agnieszki Glińskiej i Władysława Kowalskiego.

Glińska to wielki talent, a przy tym – bodaj jedyna z czołówki reżyserskiej młodego pokolenia, która... kocha aktorów. Nie traktuje ich jedynie jak narzędzi do montowania na scenie własnych wizji, lecz daje im szansę stwarzania pełnokrwistych postaci i przekazania widzom czegoś od siebie, nie tylko od

**Pochwały dla irlandzkiego „Kaleki” • Glińska to reżyser kochający aktorów! • Kowalski i Olszówka – wielkie brawa! • Zukerman i Eva Marton nieco rozczarowali... • Wesółowski nadal nowy wyraz „Mandarynowi” • Zapasiewicz i Sawicka piszą do siebie listy • „Dulska” porażką reżysera... • W Romie znowu operetka!**

inscenizatora. W Powszechnym aktorzy tę szansę wykorzystali w stu procentach: dziewięcioosobowa obsada nie ma właściwie słabych punktów, a szczególnie rewelacyjne role zagrali Władysław Kowalski i Edyta Olszówka. Kowalski wiadomo, wielka klasa, natomiast Olszówka to bodaj najciekawsza aktorka młodego pokolenia, o bardzo szerokim wachlarzu aktorskich możliwości; oglądałem ją w bardzo różnych rolach – od Heddy Gabler po kabaret Kryszka i wiem, co piszę; jej Helen w „Kalece” to sama prawda!

Obok Kowalskiego i Olszówki świetna Wiesława Mazurkiewicz, szalenie zabawny Rafał Królikowski, doskonale w roli tytułowej, student PWST, Łukasz Garlicki. Uff... Chyba jeszcze o żadnym przedstawieniu tyle dobrego nie napisałem, ale nie

sądzę, abym przesadził z przymiotnikami. I przyrzekam, że na dzisiaj już z takimi zachwykami skończyłem.

A przecież nazwiska przewinęły się przez Warszawę nie najgorsze. W Filharmonii Narodowej np. grał Pinchas Zukerman, skrzypek – można by rzec – z najwyższej półki, od trzydziestu lat utrzymujący się w ścisłej czołówce wirtuozów. Grał jednak trochę zbyt nonszalancko, nie odczuwało się w tej grze – przynajmniej w pierwszych utworach – większego zaangażowania, raczej pewien chłód, by nie rzec obojętność. Zresztą i repertuar nie w całości okazał się ciekawy: Grande Sonate E-dur Franza Xavera Mozarta, syna Wolfganga Amadeusza, to raczej muzykologiczna ciekawostka; utwór sławnego skądinąd Japończyka Toru Takemitsu też nie rzucał na kolana, dopiero po

przerwie Sonaty Schumanna, a zwłaszcza Brahmsa mogły nas przekonać, że Zukerman to rzeczywiście Zukerman. Umie grać!

Pewne rozczarowanie przyniósł też występ znanego węgierskiego sopranu, słuchanej na najbardziej prestiżowych scenach operowych świata, Ewy Marton, która w Teatrze Wielkim zaśpiewała Judytę w „Zamku księcia Sinobrodego” Beli Bartoka. Marton oklaskiwałem w potężnych partiach wagnerowskich na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i wtedy istotnie śpiewała wspaniale; być może teraz jej głos był już trochę zmęczony, w każdym razie oczekiwałem po jej występie czegoś więcej. Partnerował jej, jako Sinobrody, jej rodak Mihály Kalmándi, ale prawdziwym bohaterem nowej inscenizacji „Zamku” (reżyseria Janusz Kijowski, scenografia Andrzej Kreütz Majewski) okazała się orkiestra przygotowana i poprowadzona przez Jacka Kaspyszyka.

Brzmiała znakomicie – zarówno w „Zamku”, jak i w dopełniającym wieczór sławnym i pięknym balecie Bartoka „Cudowny mandaryn”. Choreografia Emila Wesółowskiego uwspółcześniła dramatyczną akcję baletu: seks i przemoc leżące u podstaw libretta nabrały ekspresji właściwej dzisiejszej obyczajowości, dzięki czemu oddziaływanie utworu zostało spotęgowane. „Mandaryn” Wesółowskiego – choć tak różny od pamiętnej sprzed lat głośnej inscenizacji Janiny Jarzynówny-Sobczak z niezapomnianą w partii Dziewczyny, Alicją Boniuzsko – również wywiera ogromne wrażenie. Zwłaszcza że także ma bardzo dobrych odtwórców czołowych partii: Elżbietę Kwiatkowską (Dziewczyna) i Sławomira Woźniaka (Mandaryn).

A wracając na sceny teatrów dramatycznych... Zbigniew Zapasiewicz i Olga Sawicka przyjechali do Warszawy z „Kochanym kłamcą” Jerome Kilty’ego. Piszę „przyjechali”, bo choć oczywiście nadal są w zespole Teatru Współczesnego, to „Kochanego kłamcę” przygotowali bodaj w krakowskim teatrze STU i wędrują z nim już od jakiegoś czasu po Polsce. To sztuka, która była bardzo modna z początkiem lat sześćdziesiątych, czyli w czasach, kiedy do teatru chodziło się „na aktorów”, a nie „na inscenizatorów”. Wtedy grywano ją

często i chętnie, bo wprawdzie inscenizacyjnie nie da się z niej za wiele wydobyć, natomiast dla aktorów materiał ma znakomity. Jerome Kilty ułożył ją z korespondencji, jaką przez mniej więcej czterdzieści lat George Bernard Shaw prowadził z wybitną aktorką brytyjską z przełomu stuleci, Stellą Campbell – pierwszą Elizą w jego „Pygmalionie”. Dziś nikt już nie koresponduje, wszyscy telefonują, lecz jeszcze z początkiem naszego wieku pisywano do siebie listy, przesyłając je z ulicy na ulicę niemal codziennie, a nieraz i parę razy dziennie, materiał do sztuki miał więc Kilty obfity.

Dwie dobre role: Shawa i pani Campbell, na dwoje świetnych aktorów. Pamiętam, że pierwszy raz oglądałem „Kochanego kłamcę” w Paryżu, w rewelacyjnej obsadzie: Maria Casarès i Pierre Brasseur, a wkrótce później w kraju z Eichlerówną i Władysławem Hańcą. Potem sztuka zniknęła mi z oczu, choć wiem, że grał w niej niegdyś także Andrzej Łapicki z Gordon-Górecką i jeszcze parę innych duetów aktorskich, niemniej w dobie „wielkich inscenizatorów” traciła stopniowo na popularności i dobrze, że powrócił do niej Zapasiewicz, nieco ją przystosowując do dzisiejszego, nie korespondencyjnego, stylu życia. Skrócił ją znacznie, skasował przerwę, nadal żywe tempo, całość trwa nieco ponad godzinę, ale jest to godzina pełna emocji, wzruszeń i uśmiechu, a przede wszystkim – godzina świętego aktorstwa!

Natomiast w Ateneum – „Moralność pani Dulskiej”. Rzadko się ją teraz wznawia, a jeśli już, to z myślą o aktorze: w tym przypadku pomyślano o Annie Seniuk, która grała przedtem Dulską w Teatrze Telewizji. Teraz, na prawdziwej scenie, zmieniła nieco swą interpretację, starając się nadać Dulskiej „ludzki wymiar”, czyli nie robiąc z niej zdecydowanego potwora, lecz raczej „demon domowego ogniska” trzymającego wszystko żelazną ręką, aby całe jej panopticon domowych przyglupków nie zginęło w tym okrutnym świecie. Obawiam się jednak, że taką koncepcję roli bardzo trudno obronić, Dulska nie jest bowiem w swych poczynaniach ani konsekwentna, ani broń Boże, szlachetna, ani mądrzejsza od swych do-

mowników, a jedynie bardziej od nich chytra i pyskata.

„Moralność pani Dulskiej” przygotował w Ateneum Tomasz Zygałdo i nie sądzę, aby powinien się tym przedstawieniem chwalić w swym artystycznym życiorysie. Myślę raczej, że jest głównym sprawcą porażki spektaklu, w którym grają przecież bardzo dobrzy, tyle że fatalnie (zwłaszcza Bartosz Opania jako Zbyszko) ustawieni przez niego aktorzy. Nielicznymi jaśniejszymi promykami tego spektaklu są sympatyczne role Hesi i Meli, zagrane przez Katarzynę Łochowską-Mazurek i debiutującą na scenie Agatę Buzek. Nieźle poradziły sobie z reżyserem także Małgorzata Pieńkowska (Juliasiewiczowa) i Krystyna Tkacz (Tadrachowa).

A dyrektor Kępczyński, w teatrze muzycznym Roma, po sukcesie, jaki odniósł musical „Crazy for You”, usatysfakcjonował wręcz swój groźny zespół, wystawiając klasyczną operetkę: „Wesołą wdówkę” Franza Lehara, w reżyserii i choreografii Tadeusza Wiśniewskiego. Zespół zapewne usatysfakcjonował, lecz widzów trochę mniej. Wprawdzie urok muzyki Lehara niejednokrotnie prowokuje do szczerych oklasków, problem w tym jednak, że operetka to nie tylko muzyka, to także akcja wymagająca porozumiewania się bez podkładu muzyki; przykre, ale prawdziwe.

Przykre, bo okazało się, że lata trwania tego teatru w jednej konwencji i jednej formule inscenizacyjnej wyrządziły mu pewną krzywdę. Nie mówię o gwiazdach, takich jak Grażyna Brodzińska, Małgorzata Długosz (obie śpiewają na zmianę partię Sylvii) czy Bogusław Morka (Daniło), ale o tzw. drugim planie, zwłaszcza o panach. Zatracili oni nie tylko, jak się wydaje, umiejętność prowadzenia dialogu, lecz także... chodzenia po scenie. Mówią sztucznym, nienaturalnym głosem, przemieszczają się z miejsca na miejsce w dość dziwaczny sposób; myślę, że powinni skorzystać z okazji i podpatrzyć występującego gościnnie w tym spektaklu Jana Kociniaka, on udowadnia, że i w operetce można przecież zachowywać się normalnie. Nawet jeśli się jest baronem.

LUCJAN KYDRYŃSKI



Edyta Olszówka i Łukasz Garlicki w sztuce „Kaleka z Inishmaan” Martina McDonagha w Teatrze Powszechnym w Warszawie, 1999. Reż. Agnieszka Glińska. (Fot. Dariusz Senkowski)